

Szachownica Śmierci



Marta Grzebuła

Marta Grzebula

Szachownica śmierci

© Copyright by
Marta Grzebula

Korekta
Hanna Maria Rogowski Diele
Projekt graficzny okładki
Marta Grzebuła
Michał Rybicki
Fotografia – na okładce – Michał Rybicki

ISBN 978-83-7859-178-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Jakiegolwiek podobieństwo do kogokolwiek jest przypadkowe i niezamierzone. Postacie występujące w tej powieści i ich losy są fikcyjne. A miejsce akcji jest również w takim samym stopniu wynikiem mojej wyobraźni, jak postacie w niej występujące.

Powieść jest mojego autorstwa i nie może być wykorzystana bez mojej zgody. Z. U 1994 nr 24 poz83 Marta Grzebula Jarzębina.

*...Pamięci Mojej Mamy, Basi Łukomskiej...
Mojemu mężowi, Henrykowi oraz synom dziękuję
za ich miłość i wsparcie..*

Słowo od autora

Powieść ta jest mroczną częścią mojej wyobraźni. Wędrując po jej zakamarkach, wchodząc w ten świat świadomie, często sama poznaje to, co ona skrywa, a wówczas mnie przeraża. Sądzę bowiem, że rzadko kiedy, udaje się nam w sposób spontaniczny wejść w ten mroczny świat. Powiedziałabym raczej, że celowo go omijamy i zaprzeczamy jego istnieniu. A on jednak istnieje. Ja teraz postąpiłam inaczej, wiedząc, że każdy z nas ma w swoim umyśle taki zakątek, wybrałam się tam oczami duszy... Postanowiłam przekroczyć próg lęku. Wejść tam, gdzie kończy się piękno wyobraźni, gdzie zachodzi słońce a budzi się mrok. Wejść tam, gdzie nie mam władzy nad obrazami a jedynie mogę je opisać. Moja wyobraźnia zawiedzie mnie do krainy lęku i przemocy. Wciągnie mnie w otchłań, jakiej jeszcze nie znałam, podejrzewam Czytelniku, że Ty również. Podczas czytania podążaj za mną, lecz nie lękaj się. Wiem, gdzie jest wyjście.

Śmierć, od wieków postrzegana jest w określony sposób. Schemat jej wizerunku jest nieco narzucony, a ja dostrzegam w niej coś innego. Nie jest dla mnie ani „Nię”, ani „Nim” Chcesz dowiedzieć się, kim? Zaczniij czytać a dowiesz się. Zapraszam Cię raz

jeszcze do mrocznej strefy mojej wyobraźni...

Weź mnie za rękę, uchwycić w dłoniach książkę i udaj się wraz ze mną do tego świata, gdzie na szachownicy życia za dnia, nocą rozgrywa się gra... Na szachownicy śmierci, właśnie rozpoczęła się rozgrywka.

I jeszcze jedno...Nie jest moim zamiarem wypełnić lukę w tej części mojej mrocznej wyobraźni. Lukę, jaka istnieje w naszych umysłach. Książka ta, opowieść ta, opowie Ci Drogi Czytelniku, wiele mrocznych historii. Czy jednak zakończą się one zgodnie z Twoimi przewidywaniami? Ja nie byłabym tego taka pewna. Mrok zawsze pozostanie mroczny.

Nullum scelus rationem habet – Żadna zbrodnia nie ma uzasadnienia

Nullum crimen sine culpa – Nie ma przestępstwa bez winy

Nullum crimen sine poena – Każde przestępstwo powinno być ukarane.

Sentencje łacińskie – autorzy nieznani.

Marta Grzebula

PROLOG

Budynek na rogu ulic nie wyglądał zachęcająco. Kraty w oknach. Brama pod nadzorem elektronicznym. Monitoring z każdej strony. A do tego dwóch wartowników, przemierzających, co godzinę plac i przyległy do budynku teren. W jednym z zakratowanych okien na pierwszym piętrze, stał mężczyzna. W jego spojrzeniu można było dostrzec nienawiść.

– Podłe, zgniłe u podstaw miasto – wyszeptał. Para z jego lekko wysuszonych ust osadziła się na szkle. Tam tworząc obraz ulotnej mgły pozostawała parę sekund.

– Gdybym miał moc, siłę... Zniszczyłbym je – mężczyzna pochylony ku oknu wciąż szeptał, dając upust swojej pogardzie w każdym kolejnym słowie – Spaliłbym je aż po ostatnią grudę ziemi. Teraz nie wiem, jak, ale znajdę sposób...

– Z kim rozmawiasz? – Usłyszał za sobą głos. Odwrócił się, spojrzał na stojącego w blasku światła człowieka i odparł beznamiętnie.

– Z nikim. To tajemnica – odpowiedź niespójna i nie do końca logiczna padła już w innym tonie. Zabrzmiała łagodnie.

Pielęgniarz nie dał się zwieść. Czujnie i powoli podszedł do mężczyzny i w podobnym tonie dodał.

– Rozumiem. Może kiedyś zechcesz podzielić się ze mną tajemnicą, ale teraz połóż się, proszę.

Pokój, a raczej sala chorych była pełna łagodnego światła, padającego z korytarza szpitala psychiatrycznego. Mężczyzna niechętnie wykonał polecenie pielęgniarza. Położył się, a gdy ten pochylił się nad nim nazbyt mocno, aby niczym dziecko okryć go kocem, poderwał się i raptownie chwycił za gardło. Uścisk trwał i odbierał siły pielęgniarzowi. Ostatkiem przytomności umysłu, nacisnął alarm, ukryty w kieszeni fartucha. Po paru sekundach do pokoju wbiegli dwaj inni pielęgniarze...

I znów nastał spokój. Pacjent obezwładniony zastrzykiem zasnął, lecz nie na długo.

Gdy głęboka, czarna noc okryła grubym kocem miasto on znów stał przy oknie...Dostrzegł to, co dla innych było niewidoczne...

Już wiedział jak ma się uwolnić z rąk ludzi, którzy deklarując pomoc, odebrali mu to, co dla niego było najważniejsze, wolność. Czekał świtu, ale póki co trwał mrok. Taki sam, jaki panował od lat w jego duszy i umyśle. On miał swój świat. W nim był panem życia i śmierci. A za oknem na dobre rozciągnęła się czerń nocy... Aż nastał świt...

– Szukajcie go! – głos, niczym dzwon, wypełnił długi szpitalny korytarz. – Nie mógł, ot tak zniknąć

– wciąż grzmiał. Mówiący te słowa mężczyzna zajrzał do kolejnej z sal. Nic, pustka, tu go też nie było.

– Jak i kiedy uciekł? – Ten sam człowiek mówiąc to podążał za prawie przerażonymi pielęgniarzami. Wszyscy wiedzieli, doczego był zdolnych podopieczny, ale fakt pozostawał faktem, zniknął. Nie wiedzieli, jak udało mu się wydostać na zewnątrz. Co niektórzy liczyli jeszcze na to, iż skrył się gdzieś w ciemnych, podziemnych korytarzach starego szpitala. Zeszli tam dwójkami. A ów pielęgniarz, który był u niego wieczorem dopiero teraz zorientował się, iż zaginęła jego karta – klucz. „Musiał ją ukraść w chwili, gdy mnie dusił”, pomyślał. Miał rację. Poczul balast winy. Mimo to szybko powiadomił lekarza dyżurnego.

Zapanował chaos...

W mrocznej mgle, pośród migoczących świateł ulicy, snuje się cień. Pochylony, pragnący zniknąć, rozpląnąć się wraz z szarą mgłą. Jednak wędruje poprzez kolejne ulice i zaułki owego miasta. Nieopodal stoi mężczyzna, słania się. Jego ciało poddaje się podmuchom wiatru. Kołysze się w nadany przez niego takt. Przód, tył, przód i znów tył, po czym zmiana rytmu. Silny podmuch popycha owego człowieka na bok. Upada, jego głowa z impetem uderza o bruk. Krew płynie miękko, jedwabście czerwono. Wsiąka w szczeliny kostki brukowej. Mężczyzna nie rusza

się, nie usiłuje się podnieść. Jego oczy wpatrzone w pulsujące światło latarni ulicznej wydają się być obojętne na ten widok. Stają się, po ułamku sekund, mętne, jedynie źrenice rozszerzają się, aby po chwili wyglądać, jak dwa odłamki węgla. Ich czerń rozmywa się pośród bieli gałki ocznej. Lecz i ją samą po kilku podmuchach coraz silniejszego wiatru, przecina linia czerwieni kresiek. Powieki nieruchome, nie opadają na przekrwione oczy. Rzęsy oparte o krzaczaste brwi porusza lekki podmuch czyjegoś oddechu. To samo dzieje się z grzywką mężczyzny, lecz nią zabawia się wiatr. A on sam wciąż leży pokonany przez ogarniającą jego umysł pustkę. Ciało nieruchome, dłonie spoczywające wzdłuż niego pozostają również w bezruchu. W jednej z nich w zaciśniętej pięści spoczywa butelka. Alkohol wypływa na chodnik. Miesza się wraz ze spływającą z głowy człowieka krwią i znika w wąskich, niczym włos szczelinach kostki brukowej, aby potem rozmyć się i rozpląnąć w grubych, niczym sznur szczelinach. Cień wędrujący za owym mężczyzną zamarł w bezruchu, jedynie wiatr porusza jego szatą. Płynie ona po ścianie budynku wraz z ową czarno szarą mgłą i powoli, złowrogo, spływa na ciało mężczyzny. Zakrywa go, ale nie osłania. Pochłania jego ciało. Staje się ono po ułamkach sekundy wiotkie, w pewnej chwili targnięte nieznaną i wrogą siłą wpada w niewytłumaczalną wibrację. Głowa mężczyzny uderza ze zdwojoną siłą o chodnik, ciało w konwulsjach wiję się jak wąż.

A przecież leżał bez życia. A teraz...Teraz zdominował go cień, przysiadł na jego piersi. Ręką, którą można porównać jedynie do połamanych gałęzi, chude palce, niekształtne nazbyt długie otwierają usta konającego. Cień pochyla się nad nimi. Przysysa się, a po paru sekundach nieco odsuwa. Wtedy z bladych ust, za śnionych, wypływa biała, niczym welon panny młodej mgiełka. Wije się po jego brodzie potem niżej, po piersi i tuż nad linią serca zamiera w bezruchu. Wówczas ów złowrogo wyglądający cień, swoją niekształtną dłonią unosi ją ku swoim niewidocznym ustom, a tam przy ostatnim tchnieniu konającego, owe westchnienie duszy mężczyzny, znika w otchłani ust cienia. Ciałem wstrząsa pojedyncze drżenie. Głowa bezwiednie osuwa się na bok. Z ręki wypada butelka, toczy się ku ścianie budynku, tam gubi się pośród porozrzucanych odpadków. Śmiecie wchłaniają ją i ukrywają przed okiem następnego człowieka, który właśnie wyłonił się zza zakrętu. Przerażony widokiem martwego mężczyzny podbiega, kuca, usiłuje go dobudzić. Sądzi, że on po prostu zasnął. Przybliży swoją twarz do blado sinej twarzy leżącego. Dopiero wówczas dostrzega to, co stało się nieuchronne. Mimo to wciąż porusza ramionami nieszczęśnika.

– Wstań człowieku! – krzyczy. – Rusz się! – wciąż mimo wszystko wierzy w cud. – Jest zimno! – dodaje po chwili.

Na daremnie. Na próżno. Nie widzi, jak za jego plecami wędruje cień. Już nie jest zgarbiony,

niepewny, ale wyprostowany i rośnie. Pnie się po czerwono czarnej cegle, po murze, wprost ku spadzistemu dachowi. Tam jakby przykuca. Spogląda w dół, gdzie następna ofiara usiłuje wezwać pomoc dla tego, którego on już posiadał. Cień unosi się, wstaje i nagle z łopotem niewidocznych skrzydeł z rozpostartą czernią mglistej szaty błyskawicznie opada na dół. Opada niczym sęp na ofiarę. Potem równie gwałtownie wzbija się w czerń nieba i tam znika. Wchłania go mrok, lecz ku ciałom pełnie, niczym wąż, tuż przy ziemi, inny równie złowrogi cień, jego sylwetka po chwili staje się wyraźna. A zarys powstaje na budynku. Rośnie, aby po paru sekundach przybrać kształt człowieka. I on pochyła się nad ofiarami.

A noc pokryła wdowim welonem tę ulicę. To miasto, gdzie pośród rozbłysków światła ulic mkną samochody, gdzie pośród pulsującego blaskiem lamp ulicznych toczy się nocne życie miasta. Miasta, które za jakiś czas otrzyma inną nazwę, brzmiącą złowrogo i kojarzącą się jedynie z niewyjaśnionymi zagadkami śmierci... Ale póki co, następna ofiara kona w zaułku, jednej z setek ulic miasta, kilkudziesięciu tysięcy dusz. Kilku dziesięciu tysięcy potencjalnych ofiar, miasta umarłych. Na szachownicy życia za dnia, i śmierci po nocy, ta ostatnia wykonała ruch. To była jej odpowiedź. Bo ktoś kiedyś wykonał pierwszy ruch.

Lecz póki co nastał dzień. Cień rozplynął się wraz z szarą mgłą w jaskrawym blasku promieni słońca.

ROZDZIAŁ I

Pakt

Miasto zatopione w pierwszych promieniach słońca wyglądało jakby otuliła je złoto srebrna peleryna. Karl stał w oknie. Popijał kawę i usiłował nieco się zrelaksować, choćby tym widokiem. Poprawił jedną ręką włosy. Grzywka opadła na czoło, i spłynęła wprost do oczu. A te nadal spoglądały na dachy domów i hen tam dalej na wijącą się na granicy miasta rzekę. A za nią już była tylko nieokiełzana przestrzeń.

– Cześć. Przy 108 znaleziono tydzień temu, dwa ciała – młody człowiek ubrany w ciemny garnitur stanął w drzwiach jego gabinetu. Agent odwrócił się od okna, spuścił roletę i bez słowa wyszedł ze znacznie młodszym od siebie kolegą.

– Jakie są pierwsze ustalenia? Koroner zbadał ciała? – spytał, gdy wsiadali do windy.

– Niewiele wiemy. Ciała są u nas. Przywieźli je rano. Nie zawracano bym nam głowy, gdyby nie dziwny fakt.. – Winda stanęła. Przed nimi był korytarz, ciągnął się wzdłuż szeregu drzwi gabinetów

biura FBI.

– Gdyby nie fakt – kontynuował młody człowiek – iż w żadnym z ciał nie ma prawie krwi. A jedną z ofiar jest nasz agent z Departamentu Obrony, niejaki Lee Brek. Ciała wyglądają jak zmumifikowane. Zwłoki Lee zostały do tego wszystkiego jeszcze zmasakrowane – agent mówiąc to pchnął szklane drzwi. Te bezgłośnie ustąpiły. Miasto wciąż tonęło w blasku słońca. A oni skierowali się do podziemnego parkingu. Tam, gdzie stał rząd wozów agentów FBI. Szli do jednego z nich.

– Policja udostępniła nam wszystko. Porucznik z wydziału zabójstw Greg Kolen ma dla nas najnowsze informacje. – Karl wsiadł do samochodu. Agent towarzyszący mu usiadł za kierownicą. Wyjeżdżali, serpentyna zjazdu skierowała ich na drugą stronę budynku agencji. Ulica, niczym wezbrana rzeka, przelewała się kolorową wstęgą pojazdów. Włączyli się do ruchu.

– Co jeszcze wiemy? Są świadkowie? – dopiero teraz odezwał się Karl. Czuł się zmęczony. Od zamknięcia ostatniej sprawy minęło dopiero kilka godzin. Planował w końcu wrócić do domu. Ale gdy zadzwonił szef z informacją, że wysyła do niego Marka wiedział, że tylko na marzeniu skończy się jego plan. Spojrzał na kolegę. Ten skoncentrowany na prowadzeniu wozu, dopiero po chwili odparł.

– Świadców nie ma. I nic ponad to, co już powiedziałem, nie wiemy. Podjedziemy teraz do naszego łącznika Grega i sądzę, że dowiemy się więcej.

Wogóle to dziwna sprawa – wtrącił od siebie. – Błędym świtem, siedem dni temu wpływa zgłoszenie o dwóch ciałach. Policja na miejscu znajduje zmumifikowane zwłoki, z obciętymi głowami. Dokumentują wszystko to, co uznają za ważne... Po czym śledztwo utyka w martwym punkcie, do czasu zidentyfikowania naszego agenta. Rozumiem, że nie mieli dostępu do jego akt, dopiero gdy puścili jego fotkę w lokalnej TV wyszło na jaw, że zaginał. Była żona Krysti go rozpoznała, zgłosiła się od razu. Zidentyfikowała jego zwłoki a raczej to, co z nich zostało. Tożsamość potwierdziły badania DNA i zdjęcia uzębienia. Mimo to utknęli, dopóki Departament nie sprawdził wszystkiego i nie odtajnił jego danych. Błędne koło... Cholerna biurokracja – powiedział „Młody” jak go nazywano w agencji.

– Ale mieli przecież drugą ofiarę? – Karl wyczekująco spojrział na kolegę. Ten tylko kiwnął głową i odparł.

– Nie wiem dlaczego nie podjęli działań śledczych? Przecież w końcu udało im się zidentyfikować ofiary. W każdym bądź razie jedną z nich... Co prawda dzięki telefonowi komórkowemu, facet nie miał dokumentów, nie miał po prostu nic. Uważam, że skoro więc mieli dane jednej ofiary, to mogli ruszyć z miejsca... Prawda? – Mark błędził w domysłach. Zadał pytanie nie czekając tak naprawdę na odpowiedź.

– Okazało się, że był to czterdziestoletni

mieszkaniec Hanny City, niejaki John Janowic. – kontynuował – przyjechał tu do brata. Obaj pochodzili z Rosji czy Polski... Nie pamiętam dokładnie – głos młodego agenta zabrzmiał dość niepewnie, lecz zaraz bardziej stanowczo dodał. – Obaj nadużywali alkoholu. Nigdzie nie pracowali. I jak brat twierdził, tego feralnego wieczoru, pokłócił się i ten wyrzucił Johna z domu. A dwie przecznice dalej, nad ranem, znaleźli jego zwłoki.

Mark zatrzymał pojazd. Zaparkowali tuż przy budynku komisariatu. Był to niski budynek, jeden z tych wybudowanych jeszcze przed 1956 rokiem. W jego murach było znacznie chłodniej. Obaj agenci weszli do korytarza i od razu odetchnęli z ulgą.

– Agenci, Mark Byron i Karl Widera. Jesteśmy umówieni z porucznikiem Gregiem Kolenem – powiedział Karl w chwili, gdy podeszli do punktu informacyjnego, gdzie za kuloodporną szybą siedział straszy funkcjonariusz. Ten od razu nacisnął zielony przycisk i bramka się otworzyła. Obaj agenci schowali swoje legitymacje i weszli na teren ogromnej sali, gdzie pośród odgłosów stukania w klawiaturę i innego typu odgłosów rozchodziły się w pełnej dysharmonii, także dźwięki rozmów.

– Ale ul! – powiedział Mark. – Jak oni mogą tu pracować? – spytał po chwili.

Karl nic nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. On pamiętał te czasy, gdy jeszcze, jako młody oficer pracował w podobnym „ulu”. Uśmiechnął

się mimochodem, na samo wspomnienie. Dokładnie w tym momencie podszedł do nich niewysoki, tęgi i łysiejący mężczyzna.

– Jestem Greg. Zapraszam do gabinetu. Tu... – wskazał ręką na salę, gdzie stały biurka w dwóch rzędach kilkunastu policjantów – ... nie da się rozmawiać – dodał. Mówiąc to gestem dłoni wskazał agentom kierunek. Gabinet Grega był na końcu pomieszczenia. Za kolejnym rzędem biurek.

Gabinet wyglądał jak wszystko inne. Przytłaczał małością a jednocześnie ogromem rzeczy. Stały wszędzie. Pod oknem, kartony, pudła jedno na drugim, pod ścianami metalowe szafki. Część z nich niedomknięta. Wentylator stojący na biurku kręcił się poruszając żaluzjami w oknie. Greg usiadł, agenci również.

– Wiem tylko tyle... – powiedział porucznik – ...Ofiary zostały zaatakowane nagle. Nie broniły się. Głowa waszego agenta została obcięta z chirurgiczną dokładnością. Ciało, jakby to ująć? – Greg w tej chwili wydawał się być zakłopotany – Pozbawiono krwi. Sam nie wiem, jak inaczej to określić. Jakby nie patrzeć żadnych ran na ciałach denatów nie było. Nic, co by wskazywało na wykrwawienie się na wskutek walki, czy czegokolwiek innego. Zresztą gdzie miałyby się wykrwawić? – wtrącił oficer. – Miejsce śmierci jest tym samym, co odnalezienia zwłok. Nic nie wskazuje na to, aby ktokolwiek prznosił ciała. – Greg wyjął paczkę papierosów, gestem zaproszenia,

wskazał na nią gościom. Agenci odmówili. Nie mieli ochoty w tym zaduchu na palenie. Wentylator rozbił na miliony skrawków dym z papierosa porucznika. Ten machając dłonią usiłował go przegonić. Wyłączył wentylator, wstał, otworzył okno. Dopiero teraz pomieszczenie wypełnił życiodajny tlen. Wszyscy jak na komendę odetchnęli spontanicznie z ulgą.

– Na czym to stanąłem? – Porucznik podrapał się po swojej resztkę włosów – Aha, miejsce śmierci, bez wątplenia, jest tym samym. Dziwi nas brak jakichkolwiek śladów krwi. Nie licząc dwóch wąskich stróżek wsiąkających w szczeliny...To tam znaleźliśmy sporo materiału do analizy. Ale cóż z tego. To zaledwie ułamek procenta tego, co płynie w żyłach człowieka. Wokół ciała powinno być morze krwi a jest zaledwie parę kropeł. – Mówiąc to chodził po pokoju. Agenci przyglądali się jego nerwowym ruchom i nic nie mówili.

– Muszę wam powiedzieć jeszcze jedno. Wszyscy sądzą, że to nie ma związku ze sprawą, ale ja jestem przekonany, że ma – nabrał powietrza, pochylił się nad czernią blatu biurka i nieco konspiracyjnym głosem dodał.

– Cztery miesiące temu, na miejskim cmentarzu, jakaś grupa młodych ludzi, totalnie zdewastowała jeden z pomników. Przedstawiał on anioła śmierci. Był to stary grób, opętanego myślą szaleńca, że śmierć to istota, która pojawia się tylko wówczas, gdy się ją wzywa. Czy coś takiego – był wyraźnie

zakłopotany. – Ten człowiek wierzył w jej boskość i ją czcił. Rodzina tego mężczyzny stanowczo domagała się ujęcia sprawców tego uczynku. Ale uznano, iż była to mała szkodliwość czynu, a sprawcy okazali się być nieletnimi gówniarzami i sprawa utknęła. Dopiero miesiąc temu wydano wyrok. Kara grzywny i prace na rzecz społeczeństwa. Tylko tyle. – Porucznik usiadł i po chwili kontynuował.

– A leniście, że to koniec opowieści. Owi młodzi ludzie, jeden po drugim, ulegali drobnym wypadkom. Aż do czasu, gdy ojciec jednego z nich nie zginął. Podczas jego pogrzebu doszło do niecodziennego wydarzenia. Okazało się, że miejsce pochówku biedaka jest dokładnie obok już naprawionej figury, i gdy ci trzej młodzieńcy stali nieopodal, ta runęła z hukiem, tuż za ich plecami. Jej odłamki znacząco poraniły wszystkich a zwłaszcza chłopaków. Przerażeni i zdziwieni żałobnicy zaczęli udzielać sobie nawzajem pomocy a wówczas kamienna cześć przedstawiająca kosę, opadła i wbiła się w trumnę nieboszczyka. Jego żona doznała szoku, a jego syn... Zaczął przeklinać i wyzywać anioła śmierci. Kopiąc pomnik złamał sobie nogę. – Greg mówiąc to sam ponownie analizował, czy owe wydarzenia mogą mieć rzeczywiście związek z tymi zabójstwami. Teraz miał wątpliwości, gdyby nie jeden fakt, o którym po chwili powiedział obu agentom.

– Najdziwniejsze jest to, iż ten wasz agent był wujkiem owego chłopaka Toma. Lee Brek i Elen

to rodzeństwo. Ten drugi z kolei jest, a raczej był ojczymem trzeciego sprawcy zdewastowania pomnika anioła śmierci, niejakiego Krystiana Lorenca. Janovic nie utrzymywał specjalnie kontaktu z rodziną, ale fakt pozostaje faktem. Teraz chłopcy są pod opieką matek i dalszej rodziny. Popadli w dziwną psychozę, wszyscy zgodnie twierdzą, że to, co im się przytrafiło jest winą anioła śmierci i rodziny Brockich. A sam fakt śmierci ojca Toma, też wydaje się być mało zrozumiałą. Zginął w dziwnych okolicznościach. Ale sądzę, że o tym doczytacie już sami w aktach, które wam przekażę. Póki co, tylko jeden z chłopaków, oprócz kilku szwów na plecach, nie poniósł więcej szkód. Odpukać, nikt z jego rodziny nie zginął. Niemniej jednak te trzy rodziny są przekonane, iż istnieje związek pomiędzy owymi faktami a tym, że ci trzej młodzieńcy zdewastowali grób, liczącego się za życia w naszym mieście, majątnego człowieka, który przez ponad 55 lat, jak twierdzi jego syn, poświęcał się badaniom nad... No właśnie... Jak to nazwać? – Greg był wyraźnie zakłopotany. Wzruszył ramionami drapiąc się po brodzie, dodał.

– Olaf Brocki, bo to o nim mowa, jak już wiecie, badał zjawisko śmierci. Robił to samo, co jego ojciec i dziad... Wszyscy badali i usiłowali pojąć to „zjawisko” cytując Jerrego Brockiego. Jego przodkowie, jak wynika z jego słów, czcili ją i uważali, że jest ona bogiem. Panem ludzi. Ale inni nie podzielają mojej teorii. Teorii wspólnej z tymi trzema rodzinami.